

Krwiożercze świstaki

12 października 2007

Do Kotliny Pięciu Stawów Spiskich poszliśmy we trzech. Trzeba było z Siodełka, dokąd dojeżdża kolejka ze Starego Smokowca, wynieść na górę każdy po ok. 30 kilo żarcia oraz sprzętu biwakowego i wspinaczkowego. Nawet nie usiłowaliśmy znaleźć miejsca w malutkim schronisku Terycho chata. Zajęliśmy dwie koleby na sławnym polu kolebowym między stawami. Ja zamieszkałem samotnie, opodał koledzy. Było nas w końcu czterech, bo po drodze dołączył do nas (usłyszawszy polską mowę) pan Jerzy Fularski z Sandomierza, który opowiedział nam swoje wojenne dzieje. Był zawodowym oficerem Wojska Polskiego, który w r. 1939 dostał się do niewoli niemieckiej. Uciekł z oflagu, dotarł do armii Andersa, walczył o Bolonię i znowu wpadł do niemieckiej niewoli, lądując ostatecznie w tym samym oflagu, z którego uprzednio uciekł. Kapitan Jerzy Fularski poprosił nas, by go przyjąć do kompanii, bo chciałby się powspinać. Nasze kwalifikacje były nierówne. Właściwie tylko Andrzej (Manitius), wtedy asystent u profesora Findeisena na Politechnice Warszawskiej, obecnie dziekan na Uniwersytecie Technicznym w Waszyngtonie, był już doświadczonym taternikiem z wieloma drogami piątkowymi, czy szóstkowymi. Mój przyjaciel Adam (Barwiński) był fizykiem po UJ i obaj pracowaliśmy wtedy w AGH, jako asystenci u profesora Mięslowicza. Parę lat później Adam zmarł, prawdopodobnie wskutek przedawkowania promieniowania neutronowego. Ale wtedy obydwaj mieliśmy schodzone całe Tatry, a także wspinaliśmy się trochę, do dróg czwórkowych włącznie. Oferta Jurka Fularskiego została przyjęta, nie ukrywam, że nam także imponowało być „kumplem z liny” bohatera wojennego. Następnego dnia poszliśmy na Durny Szczyt. Jest to niezmiernie piękna góra, jednak niedostępna turystycznie. Szliśmy żlebem na Przełęcz w Durnym (droga dwójkowa). Stoi tam piękna iglasta turnia (15 m wysokości), którą Polacy zwą Igła w Durnym, a Słowacy Loktibrada, czyli po naszymu krasnoludek, bo widokiem z dołu rzeczywiście daje

takie skojarzenia. Z przełęczy na szczyt granią, po niezbyt stromych blokach, ale w przepięknej scenerii krajobrazowej. Naszym zamierzeniem było zejście na Klimkową Przełęcz i następnie drogą Jordana do doliny. Klimek Bachleda pierwszy wszedł na Durny, a znany do dzisiaj matematyk węgierski Karol Jordan wytyczył trasę wejścia na Łomnicę od Pięciu Stawów Spiskich, która do dzisiaj uchodzi za najtrudniejszą trasę turystyczną w Tatrach. To sławna jordanka.

Schodzenie na przełęcz nie jest trudne wspinaczkowo, ale chwilami nieprzyjemnie przepaściste. Potem jeszcze kilkanaście minut granią przez Zębatą Turnię na Poślednią Przełęczkę, gdzie spotyka się jordanek. Zejście jordanek ułatwiała orientacyjnie stara stalowa lina, którą tam kiedyś nie wiadomo dlaczego zostawiono. Ale jest to droga długa i zawikłana tak, że opuściliśmy ścianę dopiero tuż po zmroku. Następnego dnia Jurek musiał już wracać do Polski. Adam z Andrzejem mieli iść do Dolinki Śnieżnej, a ja miałem mieć dzień wolny. I tak się stało.

Zbudziłem się dobrze wyspany. Popatrzyłem na zegar i stwierdziłem, że jest 10.20. Przez szpary między kamieniami do koleby wpadały smugi słońca. Wylazłem ze śpiwora i postanowiłem wyjść z koleby. Gdy przeciskałem się przez kamienną szparę wyjścia, usłyszałem przeraźliwy świst przy prawym uchu. Odruchowo odchyliłem głowę i uderzyłem się w łeb, nieco ponad lewą skronią. Kątem prawego oka dostrzegłem koniec ogona świstaka, który wyraźnie opalał się na kamieniu, pod którym ja spałem. Tylko dlaczego on mnie tak postraszył, że o mało co nie zabił? Krwawiłem nieco i byłem troszkę otumaniony. Do tej pory sądziłem, że świstaki są łagodne i życiu ludzkiemu nie zagrażają. A tu taki podstępny atak. Postanowiłem ze świstakami uważać. I ta ostrożność pozostała do dziś. Gdy leżąc później w górę Doliną Waksmundzką ujrzałem na Równicy świstaka (który nic sobie ze mnie nie robiąc, wylegiwał się beczelnie przy ścieżce, tuż obok swojej nory), wolałem go obejść szerokim łukiem. Na wszelki wypadek. A nuż zacznie

rzucac kamieniami. Ranę w głowie się pamięta. Pojawia się pytanie, które zadało mi już zresztą kilka osób, czy mam jakiś program zemsty na świstakach, za poniesione krzywdy fizyczne i psychiczne. Już odpowiadałem, ale powtórzę tu jeszcze raz z całą mocą. Nie! Nie jestem aż tak pamiętliwy, a ponadto, zgodnie ze współczesnymi trendami wychowawczymi, ja – stary przecież nauczyciel – muszę wierzyć i wierzę w resocjalizację świstaków. Trzeba dać im szansę. Może jednak nikogo nie zabiją. Ale chcę zobaczyć jak będzie. I dlatego będę je szanował, a wszystkim ich wrogom, łącznie z tymi idiotami, którzy rozkopują nory świstacze, by potem za bajeczne kwoty w dolarach sprzedawać sadło tych prześlicznych zwierzątek, stanowczo mówię, że dla mnie jedna nora świstaka jest dużo więcej warta, niż nawet dziesięć złotych medali olimpijskich. Tę moją deklarację kieruję głównie do tych młodych ludzi, którzy chcą zobaczyć w naszych górach świstaka oraz do tych, którzy chcą je zabić lub wypłoszyć z parku narodowego za pomocą przykładowo Olimpiady Zimowej, dla której chcą wcześniej karczować las i kosodrzewinę, rujnować podłoże ciężkim sprzętem budowlanym oraz na inne sposoby leczyć swoje kompleksy głupoli. I wiem, że to ja, a nie owi „olimpijczycy” mam rację!

Autor: Jerzy Sawicki

Źródło: [„Zielone Brygady” nr 8/2007](#)